

ROZDZIAŁ 1

66 GODZIN, 52 MINUTY

Nieprzyzwoite graffiti. Potrząskane okna. Znaki Ekipy Ludzi – ich symbol w połączeniu z ostrzeżeniami kierowanymi do odmieńców, by się wynosili.

W oddali, na ulicy, zbyt daleko, by Samowi chciało się gonić, kilkoro dzieciaków, może dziesięcioletnich, a może nawet młodszych. W świetle fałszywego księżycy widział tylko ich sylwetki. Dzieciaki podawały sobie butelkę, pociągały z niej, chwiały się na nogach.

Okolicę zarastała trawa. Chwasty przeciskały się przez szczeliny w asfalcie. Śmieci: paczki po chipsach, kółka od sześciopaków, plastikowe torebki z supermarketu, różne kartki, ubrania, pojedyncze buty, papierki po hamburgerach, połamane zabawki, potłuczone butelki i zgniecione puszki – tak naprawdę wszystko, czego nie dało się zjeść – tworzyły wielobarwną mieszaninę. Dobitną pamiątkę po lepszych czasach.

Panowała głęboka ciemność, dawniej można było doświadczyć czegoś podobnego jedynie na całkowitym odludziu.

Żadnych latarni czy lamp na ganku. Brak prądu może na zawsze.

Nikt nie marnował baterii, już nie. Ich także zaczynało brakować.

Niewiele próbowało palić świece czy ogniska ze śmieci. Zaniechali tego od czasu pożaru, w którym spłonęły trzy domy, a jeden chłopiec tak się poparzył, że Lana, Uzdrowicielka, potrzebowała pół dnia, by go uratować.

Brakowało ciśnienia w rurach wodociagowych. Z hydrantów nic nie leciało. Podczas pożaru nie dało się zrobić nic, można było tylko patrzeć na ogień i zachować bezpieczną odległość.

Perdido Beach, Kalifornia. Przynajmniej kiedyś Kalifornia. Teraz już Perdido Beach, ETAP. Cokolwiek to naprawdę oznaczało.

Sam miał moc wytwarzania światła. Potrafił strzelać z dłoni jego śmiertcionośnymi promieniami. Umiał też stworzyć kule utrzymującego się blasku, które wisiały w powietrzu jak lampy. Jak pioruny w butelce.

Ale niewiele osób chciało światła Sama, nazywanych przez dzieciaki Słoneczkami Sammy'ego. Zil Sperry, przywódca Ekipy Ludzi, zabronił swoim korzystania ze światła. Zastosowała się do tego większość normalnych. Niektórzy odmieńcy nie chcieli tak jasnego sygnału, kim i czym są. Rozprzestrzeniał się strach. Choroba. Przenosił się z jednej osoby na drugą.

Ludzie siedzieli w ciemnościach, przerażeni. Nieustannie przerażeni.

Sam przebywał w dzielnicy wschodniej, w niebezpiecznej części miasta, którą Zil ogłosił strefą zakazaną, przeznaczoną dla odmieńców. Musiał pokazać, że ciągle rządzi. Dowieść, że nie da się zastraszyć prowadzoną przez Zila kampanią lęku.

Dzieciaki tego potrzebowały. Potrzebowały kogoś, kto im pokaże, że ciągle ich chroni. Tym kimś był on. Buntował się przeciw tej roli, ale chyba była mu przeznaczona. I starał się za wszelką cenę jej sprostać. Kiedy tylko tracił z oczu cel, próbował prowadzić inne życie – działo się coś okropnego.

Wędrował zatem ulicami o drugiej nad ranem. W gotowości. Na wszelki wypadek.

Szedł blisko wybrzeża. Nie było fal, ma się rozumieć. Już nie. Nie było zmian pogody. Żadne bałwany nie sunęły Pacyfikiem, by rozbić się w cudownych rozbryzgach na plażach Perdido.

Morze wydawało teraz tylko cichy szum. Szuuu. Szuuu. Szuuu. Lepsze to niż nic. Ale niewiele lepsze.

Zmierzał w stronę Clifftop, hotelu, obecnego domu Lany. Zil zostawił ją w spokoju. Nikt nie dręczył Uzdrowicielki, nieważne, czy była odmieńcem, czy nie. Clifftop stał tuż przy murze ETAP-u, granicy strefy odpowiedzialności Sama, ostatnim przystanku na trasie codziennego obchodu.

Ktoś się zbliżał. Sam w uwagę, obawiając się najgorszego. Zil bez wątpienia pragnął jego śmierci. Gdzieś jeszcze czaił się Caine, jego przyrodni brat. Pomógł w zniszczeniu gaiaphage i psychopaty Drake'a Merwina, jednak Sam nie chciał się oszukiwać i wierzyć, że Caine się zmienił. Jeśli nadal żył, z pewnością jeszcze się spotkają.

I Bóg jeden wiedział, jakie inne zagrożenia czaiły się wśród blaknącej nocy – ludzkie i nieludzkie. W ciemnych górach, w czarnych jaskiniach, na pustyni, w lesie na północy. W zbyt spokojnym oceanie. ETAP nigdy nie dawał im spokoju.

Postać jednak wyglądała po prostu na dziewczynę.

– To tylko ja, Sinder – rozległ się głos i Sam się odprężył.

– Co tam, Sinder? Trochę późno, nie?

Była uroczą, gotycką dziewczyną, której na ogół udawało się trzymać z dala od różnych wojen i podziałów w ETAP-ie.

– Cieszę się, że cię spotkałam – stwierdziła. W ręce trzymała stalową rurkę z uchwytem oplecionym srebrną taśmą klejącą. Nikt nie chodził bez broni, zwłaszcza nocą.

– U ciebie w porządku? Masz co jeść?

Te słowa stały się standardowym powitaniem. Nie: „Jak się masz?”, tylko: „Masz co jeść?”.

– Tak, jakoś sobie radzimy – odparła. Ze swoją bladą cerą wydawała się bardzo młoda i bezbronna. Oczywiście rurka, czarne paznokcie i kuchenny nóż, zatknięty za pasek, nie wywoływały już tak łagodnego wrażenia.

– Słuchaj, Sam. Nie jestem kimś, kto, wiesz, chce donosić na innych i w ogóle... – powiedziała. Czowała się nieswojo.

– Wiem – potwierdził. Czekał.

– Chodzi o Orsay – oznajmiła i obejrzała się przez ramię z poczuciem winy. – Wiesz, czasami z nią rozmawiam. Jest dość fajna, na ogół. Oryginalna...

– Rozumiem.

– Na ogół...

– Aha.

– Ale, widzisz, może też trochę dziwna... – Wyszczrzyła się w krzywym uśmiechu. – I kto to mówi.

Sam czekał. Gdzieś zza jego pleców dobiegł odgłos tłuczonego szkła i piskliwy chichot. Dzieciaki wyrzuciły opróżnioną butelkę. Jakiś czas temu chłopaka zwanego K.B. znaleziono martwego z flaszką wódki w ręce.

– W każdym razie Orsay jest przy murze.

– Przy murze?

– Na plaży. Ona jakby... myśli... Słuchaj, pogadaj z nią, dobra? Tylko nie mów, że ci powiedziałam. Okej?

– Teraz tam poszła? Jest druga w nocy.

– Wtedy to robią. Nie chcą, żeby ktoś... Zil albo... ty... naprzykrzał się im. Wiesz, gdzie mur dochodzi od Clifftop na plażę? Kojarzysz te skały? Tam jest. Nie sama. Są z nią inne dzieciaki.

Sam poczuł niemiłe mrowienie na plecach. Przez ostatnie kilka miesięcy nauczył się dość dobrze przeczuwać kłopoty. A tu najwyraźniej szykowały się kłopoty.

– Dobra, sprawdzę to.

– Super.

– Dobranoc, Sinder. Uważaj na siebie.

Zostawił ją i ruszył dalej, zastanawiając się, jakie nowe szaleństwo lub zagrożenie go czeka. Wspiął się drogą, mijając Clifftop. Zerknął w górę, na balkon Lany.

Patrick, labrador Lany, musiał go usłyszeć, bo wydał z siebie krótkie i ostre, ostrzegawcze szczeknięcie.

– To tylko ja, Patrick – powiedział Sam.

W ETAP-ie pozostało przy życiu niewiele psów czy kotów. Patrick nie skończył jako gulasz tylko z jednego powodu: należał do Uzdrowicielki.

Ze szczytu klifu Sam popatrzył w dół i zdało mu się, że na skałach, przy samych falach, które nie były właściwie falami, dostrzega sylwetki kilku osób.

Nie potrzebował światła, by zejść w dół klifu. Mógłby to zrobić po omacku. Dawniej schodził tam, targając cały swój sprzęt, gdy szli z Quinnem czekać na dobra falę.

Gdy ześlizgnął się wreszcie na piasek, dobiegły go ciche głosy. Jeden mówił. Drugi krzyczał.

Nieprzebyta, nieprzenikniona, bijąca w oczy bariera, która wyznaczała granice ETAP-u, jaśniała niemal niezauważalnie. Tak naprawdę nie był to nawet blask, a jedynie sugestia przejrzystości. Szara i nijaka.

Na plaży płonęło małe ognisko, rzucając słabe, pomarańczowe światło na niewielki krąg piasku, skał i wody. Nikt nie zauważył nadchodzącego Sama. Miał więc czas rozpoznać większość ze zgromadzonych tam dzieciaków. Francis, Cigar, D-Con, kilkoro innych i sama Orsay.

– Coś widziałam... – zaczęła Orsay.

– Opowiedz mi o mojej mamie! – zawołał ktoś ze słuchających.

Orsay podniosła rękę w uspokajającym geście.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby dotrzeć do waszych bliskich.

– Ona nie jest komórką – warknęła ciemnowłosa dziewczyna obok Orsay. – Kontakt z barierą sprawia Prorokini wielki ból. Dajcie jej spokój. I słuchajcie tego, co mówi.

Sam zmrużył oczy, nie potrafiąc rozpoznać mówiącej w rozmigotanym blasku ognia. Jakaś przyjaciółka Orsay?

Sądził, że zna wszystkich mieszkańców ETAP-u.

– Zaczynaj jeszcze raz, Prorokini – powiedziała ciemnowłosa.

– Dziękuję ci, Nerezzo – odrzekła Orsay.

Sam ze zdumieniem pokręcił głową. Nie miał pojęcia ani o tym, że Orsay zajmuje się czymś takim, ani, że zatrudniła nową osobistą menedżerkę. Nie kogoś, kogo znał, lecz dziewczynę o imieniu Nerezza.

– Coś widziałam... – zaczęła znowu Orsay i zawiesiła głos, jakby się spodziewała, że ktoś jej przerwie. – Miałam wizję.

Te słowa wywołały pomruk. A może był to jedynie szum wody przy brzegu.

– Widziałam wszystkie dzieciaki z ETAP-u, starsze i młodsze. Stały na szczycie urwiska.

Wszystkie głowy podniosły się, by spojrzeć na klif. Sam schylił się. Zrobiło mu się głupio. Żadne z nich go nie widziało.

– Dzieci ETAP-u, więźniowie ETAP-u, wpatrywali się w zachodzące słońce. To był taki piękny zachód. Czerwien szy i żywszy niż wszystko, co widzieliście. – Wydawała się zahipnotyzowana tą wizją. – Taki czerwony zachód słońca.

Cała uwaga była teraz skupiona na Orsay. Z niewielkiego tłumu nie dobywał się żaden dźwięk.

– Czerwony zachód słońca. Wszystkie dzieci wpatrzone w to czerwone słońce. Ale za nimi... diabeł. Demon. – Dziewczyna skrzywiła się, jakby nie mogła patrzeć na tego stwora. – Potem dzieci zrozumiały, że w tym słońcu czekają ich bliscy, stojąc z wyciągniętymi rękami.

Matki i ojcowie. Wszyscy razem, pełni tęsknoty i miłości. Czekają niecierpliwie, by powitać swoje dzieci w domu.

– Dzięki, Prorokini – powiedziała Nerezza.

– Czekają... – ciągnęła Orsay. Podniosła jedną rękę, machnęła w stronę bariery, zatrzepotała dłonią. – Tuż za murem. Tuż za zachodem słońca.

Opadła ciężko na ziemię, niczym marionetka, której ucięto sznurki. Przez chwilę siedziała skulona, z otwartymi dłońmi wspartymi na udach i pochyloną głową. Potem jednak podniosła się z drżącym uśmiechem.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

Przyłożyła dłoń do muru ETAP-u. Sam wzdrygnął się. Wiedział z doświadczenia, jakie to może być bolesne. Zupełnie jak dotknięcie niez izolowanego drutu elektrycznego. Nie robiło krzywdy, choć wrażenie było wręcz przeciwne. Szczupła twarz Orsay była teraz wykrzywiona z bólu. Gdy jednak przemówiła, głos miała wyraźny i spokojny. Jakby czytała wiersz.

– Myśli o tobie, Bradley... – powiedziała. Bradley – tak brzmiało prawdziwe imię Cigara. – Myśli o tobie... jesteś na Knott's Berry Farm. Boisz się iść na karuzelę... Pamięta, jaki próbowałeś być dzielny... Matka za tobą tęskni...

Cigar pociągnął nosem. Nosił zmajstrowaną własnym sumptem broń – zabawkowy, plastikowy miecz świetlny z wbitymi w końcówkę żyłkami. Włosy miał związane w koński ogon spięty gumką.

– Ona... wie, że tu jesteś... wie... chce, żebyś do niej przyszedł...

– Nie mogę – jęknął Cigar, a pomocnica Orsay, kimkolwiek była, objęła go pocieszająco ramieniem.

– ...gdy nadejdzie czas... – mówiła Orsay.

– Kiedy? – załkał Cigar.

– Marzy, żebyś wkrótce był przy niej... Marzy... tylko trzy dni... wie to, jest pewna... – Głos Orsay przybrał niemal ekstatyczne tony. Chyba kręciło jej się w głowie. – Widziała, jak inni to robią...

– Co? – spytał Francis.

– ...inni, którzy pojawili się z powrotem – odparła

Orsay sennym głosem, jakby zapadała w sen. – Widziała ich w telewizji. Bliźniaczki, te dwie dziewczyny, Annę i Emmę... widziała je... Udzielały wywiadów i opowiadały...

Gwałtownie cofnęła dłoń od muru ETAP-u; zdawało się, że dopiero teraz poczuła ból. Sam wciąż pozostawał niezauważony. Zawahał się. Powinien sprawdzić, o co tu chodzi. Czuł się jednak dziwnie, jakby naruszał czyjąś intymność. Jakby pchał się nieproszony do kościoła na mszę.

Cofnął się w najgłębsze cienie klifu, uważając, by nie usłyszano go ponad cichym szuuu... szuuu... szuuu...

– To wszystko na dzisiaj – oświadczyła Orsay i zwiesiła głowę.

– Ale chcę się czegoś dowiedzieć o swoim tacie – naciskał D-Con. – Mówiłaś, że dziś wieczorem możesz się mną zająć. Teraz moja kolej!

– Jest zmęczona – odparła z mocą pomocnica Orsay.

– Nie wiesz, jakie to dla niej trudne?

– Mój tata pewnie tam jest i próbuje ze mną rozmawiać – jęknął D-Con, wskazując jakieś miejsce w barierze, jakby wyobrażał sobie, że widzi tam swojego ojca, próbującego zajrzeć przez matową szybę. – Pewnie jest tuż za murem. Pewnie... – Ścisnęło go w gardle i nie mógł mówić dalej.

Nerezza przytuliła go do siebie, tak jak wcześniej Cigara, by go pocieszyć.

– Oni czekają – powiedziała Orsay. – Wszyscy tam są. Tuż za murem. Tak wielu... tak wielu...

– Jutro Prorokini spróbuje znowu – oznajmiła druga dziewczyna. Podniosła D-Cona na nogi. – Idźcie już, wszyscy. No, idźcie!

Grupa z ociąganiem podniosła się na nogi i Sam zdał sobie sprawę, że wkrótce ruszą prosto w jego stronę. Ognisko zapadło się, posyłając w górę snop iskier.

Cofnął się w skalną rozpadlinę. Na tej plaży i na klifie nie było centymetra, którego by nie znał. Czekał i patrzył, jak Francis, Cigar, D-Con i inni wspinają się ścieżką, po czym znikają pośród nocy.

Wyraźnie wyczerpana Orsay zeszała ze skały. Opierała się na ciemnowłosej dziewczynie i gdy go mijały, przystanęła. Popatrzyła prosto na Sama, chociaż wiedział, że go nie widać.

– Śniłam o niej, Sam – powiedziała. – Śniłam o niej.

Poczuł suchość w ustach. Głośno przełknął ślinę. Nie chciał pytać. Ale nie mógł się powstrzymać.

– Moją mamę?

– Myśli o tobie... i mówi... mówi... – Orsay osunęła się, niemal opadła na kolana, lecz pomocnica ją podtrzymała.

– Mówi... wypuść ich, Sam. Wypuść, gdy nadejdzie ich czas.

– Co?

– Sam, przychodzi czas, gdy świat nie potrzebuje już bohaterów. A prawdziwy bohater wie, kiedy odejść.

ROZDZIAŁ 2

66 GODZIN, 47 MINUT

*Ćśśś, dziecino, nie płacz już
idź, maleństwo, spać.*

*Gdy się zbudzisz, będziesz mieć
koniki śliczne te.*

To pewnie zawsze była piękna kołysanka, pomyślał Derek. Może była piękna nawet wtedy, gdy śpiewały ją normalne osoby. Może wzruszała do łez.

Ale jego siostra, Jill, nie była normalną osobą.

Piękne piosenki potrafią przenieść w magiczne miejsce. Gdy jednak śpiewała Jill, tak naprawdę nie chodziło o piosenkę. Mogłaby zaśpiewać książkę telefoniczną. Albo listę zakupów. Cokolwiek śpiewała, jakiegokolwiek słowa czy melodię, było to tak piękne, tak przejmująco cudowne, że nikt nie mógł słuchając nie odczuć wzruszenia.

Chciał iść spać.

Chciał mieć wszystkie śliczne koniki.

Gdy śpiewała, było to wszystko, czego pragnął. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

Derek sprawdził, czy okna są zamknięte. Bo gdy Jill śpiewała, każdy, kto usłyszał, przychodził posłuchać. Nie mogli się powstrzymać.

Z początku żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje. Jill miała tylko dziewięć lat i nie uczyła się nigdy śpiewu. Pewnego jednak dnia, mniej więcej przed tygodniem, zaczęła śpiewać. Coś głupiego, o ile pamiętał. Motyw muzyczny z serialu The Fairly OddParents.

Derek stanął jak wryty. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł przestać słuchać. Uśmiechał się, słysząc listę życzeń Timmy'ego i pragnąc każdej z tych rzeczy dla siebie. Chciał mieć własnych bajkowych rodziców chrzestnych. Gdy Jill wreszcie umilkła, miał wrażenie, że budzi się z najwspanialszego snu, by znaleźć się w okropnej, szarej rzeczywistości. Minał cały dzień, nim zorientował się, że to nie jest zwykły talent. Musiał pogodzić się z faktem, że jego siostrzyczka jest odmieńcem.

Było to przerażające odkrycie. Derek był normalny.

Odmieńcy, tacy jak Dekka, Brianna, Orc, a zwłaszcza Sam Temple, budzili w nim lęk. Ich moce sprawiały, że mogli robić, co chcieli. Nikt nie potrafił ich powstrzymać. Odmieńcy na ogół nie wyrządzali nikomu krzywdy. Zwykle używali mocy do robienia rzeczy, które należało zrobić. Ale Derek widział Sama podczas walki przeciwko temu drugiemu megadziwakowi, Caine'owi Sorenowi. Zniszczyli znaczną część miejskiego placu, usiłując się nawzajem zabić. Gdy szalała bitwa, Derek skulił się i ukrył najlepiej, jak potrafił.

Wszyscy wiedzieli, że odmieńcy uważają się za niezwykłych. Że mają najlepszą żywność. Nie widywano, by zniżali się do jedzenia szczurzego mięsa albo owadów. Ledwie parę tygodni wcześniej, podczas najgorszej fali głodu, Derek i Jill musieli to robić. Złapali i zjedli kilka koników polnych. A odmieńcy? Nigdy nie upadli tak nisko. Wszyscy o tym wiedzieli. Tak przynajmniej mówił Zil. Dlaczego miałby kłamać?

A teraz młodsza siostra Dereka była jednym z nich.

Mutantem. Dziwolągiem.

Gdy jednak śpiewała... gdy śpiewała, Derek nie znajdował się już w mrocznym, strasznym ETAP-ie. Słońce świeciło jasno, trawa była zielona i wiała chłodna bryza. Matka i ojciec byli przy nim, razem ze wszystkimi innymi, którzy zniknęli.

Gdy śpiewała, koszmarna rzeczywistość życia w ETAP-ie zniknęła, zastępowana śpiewem, śpiewem, śpiewem. Derek przebywał teraz w tym miejscu, szybując na magicznych skrzydłach w stronę Niebios.

When I die, hallelujah by and by...

Derek wiedział, że to piosenka o śmierci. A jednak tak piękna, gdy śpiewała ją Jill. Aż rozdzierała mu serce.

Oh how glad and happy when we meet...

O, jaka radość, chociaż siedzieli w ciemności, w domu pełnym smutnych wspomnień. Snop światła oszałamiał.

Nagle Jill przestała śpiewać. Zapadła druzgocąca cisza. Blask przeświecał przez cienkie zasłony. Zatańczył w pomieszczeniu. Odnalazł twarz Dereka. Potem obrócił się, aż w końcu oświetlił piegowate oblicze Jill i nadał jej oczom szklisty wygląd.

Drzwi wejściowe domu otworzyły się z trzaskiem na oścież. Część framugi pękła.

Intruzi, wpadając do środka, nie powiedzieli ani słowa. Pięciu chłopaków z kijami bejsbolowymi i tyżkami do opon. Na twarzach mieli różne maski halloweenowe albo pończochy.

Ale Derek wiedział, co to za jedni.

– Nie! Nie! – krzyknął.

Cała piątka nosiła masywne, strzeleckie nauszники. Nie mogli go słyszeć. I co ważniejsze, nie mogli słyszeć Jill. Jeden z chłopaków stanął w drzwiach. To on tu rządził. Drobny dzieciak o imieniu Hank. Pończocha na twarzy nadawała jego rysom wygląd plasteliny, ale to musiał być on.

Jeden z chłopaków, gruby, ale szybki, w masce zająca wielkanocnego, podszedł do Dereka i uderzył go w brzuch aluminiowym kijem bejsbolowym.

Derek opadł na kolana.

Inny chłopak złapał Jill. Zakrył jej twarz dłonią. Ktoś podał mu rolkę taśmy klejącej.

Dziewczynka krzyknęła. Derek spróbował ustać, ale kolejny cios w brzuch pozbawił go tchu. Znowu spróbował, lecz grubas pchnął go z powrotem na podłogę.

– Nie bądź głupi, Derek. Nie chodzi nam o ciebie.

Usta Jill zostały kilkakrotnie zaklejone taśmą. Pracowali przy świetle latarki. Derek widział oczy siostry oszalałe ze strachu. Bezgłośnie błagały, by starszy brat ją ocalił.

Zakleiwszy jej usta, napastnicy ściągnęli nauszники. Hank wystąpił naprzód.

– Derek, Derek, Derek – powiedział z żalem, kręcąc głową. – Powinieneś zrozumieć.

– Zostaw ją w spokoju – zdołał wydyszeć Derek, łapiąc się za brzuch i opanowując mdłości.

– To odmieniec – stwierdził Hank.

– Jest moją siostrą. A to nasz dom.

– To odmieniec – powtórzył Hank. – A ten dom leży na wschód od Pierwszej Alei. W strefie bez odmieńców.

– Stary, daj spokój – poprosił Derek. – Nikomu nie robi krzywdy.

– Nie w tym rzecz – odezwał się chłopak o imieniu Turk. Miał chorą nogę i utykał, przez co nie sposób było go nie rozpoznać. – Odmieńcy z odmieńcami, normalni z normalnymi. Tak musi być.

– Ale ona tylko...

Policzek, wymierzony przez Hanka, zapiekł.

– Zamknij się. Zdrajca! Normalny, który staje po stronie odmieńca, jest traktowany tak jak oni. Tego chcesz?

– Poza tym – powiedział z chichotem ten gruby – postępujemy z nią łagodnie.

Możemy wyleczyć ją tak, żeby już nigdy nie mogła śpiewać. Ani mówić. O ile wiesz, co mam na myśli.

Wyciągnął nóż z pochwy umocowanej w okolicach krzyża.

– No, Derek? Łapiesz?

Opór Dereka osłabł.

– Przywódca okazał litość – stwierdził Turk. – Ale przywódca nie jest słaby. Ten odmieniec może albo natychmiast odejść na zachód, za granicę... albo... – Tu zawiesił groźbę.

Łzy Jill popłynęły ciurkiem. Ledwie mogła oddychać, bo ciekło jej z nosa. Derek widział, że wciąga taśmę w usta, próbując zassać powietrze. Udusi się, jeśli szybko jej nie uwolnią.

– Pozwólcie mi przynajmniej wziąć jej lalkę.

– Chodzi o Pandę.

Caine wznosił się ponad warstwy snów i koszmarów, jakby przedzierał się przez grube kotary, które zaczepiały o jego ręce i nogi, sprawiając, że każdy ruch bardzo go męczył. Zamrugał powiekami. Nadal ciemno. Noc.

Głos nie dobiegł z żadnego wyraźnego źródła, lecz i tak go rozpoznał. Nawet gdyby było światło, mógłby nie zobaczyć chłopaka, dysponującego mocą blaknięcia i niemal zupełnego znikania.

– Robal... Czemu mnie męczysz?

– Panda. Zdaje się, że nie żyje.

– Sprawdziłeś jego oddech? Posłuchałeś serca? – Potem przyszła mu do głowy inna myśl. – Dlaczego mnie budzisz, żeby powiedzieć, że ktoś umarł?

Robal milczał. Caine czekał, ale tamten wciąż nie był w stanie wykrztusić nawet słowa.

– Zrób, co trzeba – polecił Caine.

– Nie możemy do niego dotrzeć. Nie umarł tak po prostu. Wsiadł do samochodu, nie? Tego zielonego.

Caine potrząsnął głową, próbując powrócić do pełnej świadomości, ale warstwy snu, koszmaru i wspomnień wciąż go szarpały, zamulały mu mózg.

– W tym samochodzie nie ma benzyny – zauważył.

– Popchnął go, aż zaczął się toczyć – wyjaśnił Robal. – Potem wskoczył do środka. Zjechał w dół drogi. Aż do zakrętu.

– Tam jest barierka – powiedział Caine.

– Przejechał przez nią. Trach. Bum, bum, bum, aż na sam dół. To długa droga. Ja i Penny zeszlismy tamtędy, więc wiem, że długa.

Caine chciał, żeby Robal zamilkł. Nie chciał słuchać dalszego ciągu. Panda nie był okropny, jak niektórzy z nielicznych już zwolenników Caine'a.

Może właśnie dlatego zjechał samochodem z urwiska.

– Tak czy owak, jest zupełnie martwy – stwierdził Robal. – Ja i Penny wyciągnęliśmy go. Ale nie możemy wnieść go na szczyt klifu.

Caine podniósł się. Z drżącymi nogami, żołądkiem niczym czarna dziura, umysłem wypełnionym ciemnością.

– Prowadź – powiedział.

Wyszli w noc. Pod stopami chrzęścił im żwir, poprzetykany teraz chwastami. Biedna Coates Academy, pomyślał Caine. W dawnych czasach zawsze tak o nią dbano. Dyrektor z pewnością nie pogodziłby się z wielką dziurą, która ziała we frontowej ścianie budynku albo ze śmieciami, rozrzuconymi tu i ówdzie w nazbyt bujnej trawie.

To nie był długi marsz. Caine nic nie mówił. Czasami wykorzystywał Robala, bo bywał przydatny. Ale raczej nie uważał go za przyjaciela.

W perłowym blasku gwiazd dobrze było widać miejsce rozerwania barierki. Wyglądała jak stalowa taśma, przecięta, a potem na w pół zwinięta, dyndająca po jednej ze stron. Caine wytężył wzrok w ciemności. Widział samochód, przewrócony do góry kołami. Jedne drzwi były otwarte. Znalezienie ciała zajęło mu parę minut.

Caine westchnął i wzniósł ręce. Panda leżał niemal na skraju jego zasięgu, więc nie poderwał się od razu w powietrze. Na początku sunął, powłócząc nogami. Jakby niewidzialny drapieżnik ciągnął go do swojej kryjówki.

Potem jednak Caine wzmocnił „uchwyt” i Panda wzbil się nad ziemię. Zawisł plecami do niej. Jego otwarte oczy utkwione były w nierzeczywistych gwiazdach.

Caine uniosł chłopaka ponad wrak samochodu, w górę, coraz wyżej, aż w końcu opuścił go najłagodniej, jak się dało. Panda leżał teraz na drodze.

Caine bez słowa ruszył w stronę Coates.

– Nie zabierzesz go z powrotem? – załkał Robal.

– Weź taczkę – odparł. – Trzeba samemu wozić swoje mięso.